

Je chać na Kresy

Ale po co, skoro to już nie ten Lwów, Sambor, nie ta Żółkiew? A jednak warto. Dla jednych po to, by z grobu matki Juliusza Słowackiego zabrać garść ziemi pod pomnik poety w Warszawie, dla innych, by po prostu przywieźć krzemień z Krzemieńca. Jeszcze inni pragną zrozumieć, czym właściwie są Kresy.

Po przekroczeniu granicy ukraińsko-polskiej człowiek zachłystuje się kolorem, ładem, czystością. Przemyśl – miasto nadgraniczne. Emanuje energią, ludzką aktywnością. A jeszcze kilka dni temu, przed wyjazdem na Ukrainę, irytował widok popękanych tynków zabytkowych kamienic, handlowy harmider, nowa – bez ładu i składu – zabudowa. Teraz miasto raptem zachwyca. Toż to prawie Paryż!

Istnieje olbrzymi kontrast z ukraińskim bezruchem, wschodnim fatalizmem i wszechogarniającą szarością.

Gdy się jedzie w tamtą stronę, na Wschód, wraz z koniecznym na granicy przesunięciem wskazówek zegara coś dzieje się z czasem. Spowalnia. Niekiedy wręcz jakby stawał w miejscu. Do tego trzeba się przyzwyczaić. Niezależnie jak ważne byłoby spotkanie, prawie na pewno nie rozpocznie się o wyznaczonej porze. I nikogo to nie dziwi, nikt się nie denerwuje.

– Trzeba uzbroić się w cierpliwość i wszystko się w swoim czasie załatwi – uprzedza Mariusz Ol-

bromski, dyrektor Muzeum Ziemi Przemyskiej, organizator wyprawy i zakochany w Kresach człowiek.

A więc jedziemy. Pełen autokar. Profesorowie z Uniwersytetu Warszawskiego, KUL-u, rzeszowskiej WSP, muzealnicy, poeci, dziennikarze, urzędnicy ministerialni, budowniczo wie pomnika Juliusza Słowackiego w Warszawie. Jest też grupka entuzjastów, którzy zawsze się jakoś dowiedzą, że oto jest znowu okazja do wyjazdu na Wołyń, Podole, Pokucie.

Celem jest Krzemieniec i spotkanie pisarzy i naukowców z Polski oraz z Ukrainy w Krzemieńcu sesja naukowa zatytułowana „Geografia podróży Juliusza Słowackiego”.

Ukraina Camel Trophy

Rzeczpospolita Polska. Orzeł w koronie. Uprzejmie uśmiechnięte polskie służby graniczne. Zdecydowanie przyjemniej teraz niż w PRL-u przekracza się granicę swojego kraju.

U sąsiadów wita wielka reklama Camela (i tu zaszła zmiana), a obok

na zielonym tle napis: Ukraina.
Droga prowadzi prosto na Lwów.

koronach drzew prześwituje od cza-
su do czasu skrawek pola. Widać



Panorama Lwowa Marcelego Harasimowicza

Wyprofilowana asfaltowa jezdnia. Żadnych skrętów, żadnych niespodzianek. Po bokach obsadzona gęstym szpalerem drzew. Latem zasłaniają cały widok. Jazda jak w tunelu. To pozostałość jeszcze z czasów Związku Radzieckiego – żaden „szpion” nie mógł wypatrzeć czegoś w kartofliskach lub w zagonach kapusty.

Ale w jesieni przerzedzonych

ludzi, jak zaprzężeni w stare, przywiezione z Polski maszyny rolnicze, starają się zaorać kawałek pola. Po likwidacji kolchozów prywatne osoby mogą dzierżawić ziemię. I jest ona najczęściej, tak jak i przydomowe ogródki, jedynym źródłem utrzymania i wyżywienia dla całych rodzin. Te ogródki latem przydają urody mijanym miasteczkom.

Po drodze, w owych prześwi-

tach, migają pokryte białą blachą cebulaste kopuły cerkiewek (ze złocień i miedzi zrezygnowano już dawno), świeżo wznoszone wille. Odgłosy piły, stukania młotków niosą się daleko po bezkresnych polach.

– To się buduje nasza mafia – mówi pani Luba, która skorzystała z okazji, by ją podwieźć z Przemyśla do Gródka, gdzie – jak zaznacza – mieszka u rodziny męża.

– To nie Gródek, a Gródek Jagielloński – ktoś poprawia. – Tutaj, jak mówi legenda, zatrzymał się urzeczony śpiewem słowików Władysław Jagiełło. I tutaj zmarł na jakąś dziwną zarazę. Król został uwieczniony w nazwie miasteczka.

– Widać nie nauczyła się w szkole – dyplomatycznie odpowiada pani Luba.

Mościska, Gródek Jagielloński, Żółkiew, Lwów, Sambor, Krzemieniec, Podhorce... Nazwy miejsc i miejscowości wywołują niebываłe emocje i jakoś nie chcą przystawać do obecnego wyglądu tych miejsc. A budzą też i dreszcz wzruszenia, że oto są na wyciągnięcie ręki, że można pojechać, zobaczyć, odwiedzić.

Do niedawna niełatwo można było dostać się w te strony: do Złoczowa, Tarnopola, Humania, Kamieńca Podolskiego, Kołomyi, Stanisławowa. Miejsca niegdyś najbliższe stały się mityczne. Podobnie jak mit dalekich, a tak bliskich ser-

cu Polaków Kresów. Mało kto wiedział, gdzie i czy jeszcze rzeczywiście istnieją, mimo iż rozciągają się niedaleko, zaledwie kilka godzin jazdy samochodem od granicy.

Kasztany we Lwowie

Kresy. Tego określenia użył po raz pierwszy w połowie ubiegłego wieku Wincenty Pol w rapsodzie rycerskim pt. „Mohort”.

Poeta nie przypuszczał, że jego zasługą będzie wprowadzenie terminu „kresy” do słownika ważnych polskich pojęć narodowych. Według Pola „kresami” był niezmiernie istotny dla dawnej Rzeczypospolitej, z nią zaś dla całej Europy chrześcijańskiej, skrawek ziemi między Dnieprem a Dniestrem, najdalszy pas wojskowych stanowisk broniących Polski od Tatarów i hajdamacczyzny.

Tymczasem w zawrotnej swej karierze – jak pisze prof. Jacek Kolbuszewski – słowo „kresy” szybko oderwało się od przypisanego mu terytorium, znaczeniem swoim obejmując coraz większe połacie ziem ongiś do Polski należących i będących jej pograniczami.

Z jednej strony Kresy więc są nazwą geograficzną pewnego obszaru, z drugiej symbolizują wyidealizowaną krainę, z którą związane są wartości kulturowe i etyczne.

Ze względu na charakter pogranicza są to też ziemie, na których rozgrywały się największe dramaty

w historii. Częste i krwawe odmiany losu były udziałem ich mieszkańców.

Wspominając choćby tylko lata 1917-1919, przedstawione przez Zofię Kossak-Szczucką w „Pożodze” – niezwykle cennym dokumencie historycznym i literackim. Szczucka opisuje nieszczęśliwą ziemię wołyńską, po której przewalały się wojska rosyjskie, niemieckie i austriackie, pułki bolszewickie, watahy petlurowców, oddziały galicyjskich siczowników i bandy zrewolucjonizowanego chłopstwa. Ta książka niosąca ze sobą miłość do ojczystych Kresów, na przekór wszelkim przeciwnościom, najlepiej pomaga zrozumieć, dlaczego ten obszar nazywano rajem utraconym, ziemiami zabranymi, Kresami odłączonymi.

– Stale tęsknię za Lwowem mojej młodości, jednym z najpiękniejszych miast przedwojennej Europy – mówi pani Stanisława, która po raz kolejny odbywa sentymentalną podróż do miejsca, gdzie się urodziła. – Nie zapomnę naszego domu położonego na tzw. Zaświeciu, we wspaniałym sadzie na stokach cytadeli lwowskiej. Pamiętam spacerować po znajdującym się w sąsiedztwie ogrodzie „Ossolineum”, najpierw na wiosnę, gdy pojawiały się sasaniki, a potem w maju, gdy kwitły bzy. A jesienią chodziliśmy tam zbierać kasztany.

Bliskość ludzi i przyrody, har-

monia i łagodność, arkadia krainy dzieciństwa powtarzają się we wspomnieniach Kresowiaków.

Może dlatego niektórzy nigdy nie zdecydują się teraz na wyjazd na Kresy. A inni, nawet jeśli pojedą, nie odnajdą świata swojego dzieciństwa, młodości, swojego świata sprzed lat. Ale są i tacy, którzy odkąd „już można”, jeżdżą tam stale. Chcą się nasycić dziwnymi fluidami tej ziemi. Do nich należą np. złoczowianie. Mają swoje światowe Stowarzyszenie Rodzin i przyjaciół Ziemi Złoczowskiej.

– Oddziały stowarzyszenia istnieją w Bielsku-Białej, Gliwicach, Wrocławiu, Londynie – informuje pan Roman Maćkówka, osiadły w Krakowie złoczowianin.

Krzemień z Krzemieńca

– Tamtego Krzemieńca już nie ma mówi z grymasem goryczy pan Aleksander Niedźwiecki, syn profesora geografii Krzemienieckiego Gimnazjum, uczeń tej szkoły, a obecnie członek komitetu budowy pomnika Juliusza Słowackiego w Warszawie.

– Tu w mieście wszędzie stały polskie dworki. To była charakterystyczna architektura krzemieniecka. Kiedy do miasta weszli Niemcy, pozwolili Ukraińcom zniszczyć polskie siedliska. Nie wolno im było w nich zamieszkać, ale mogli je rozebrać.

Odbywało się to całkiem po ci-

chu, w mętным mroku jesiennej szarugi, od samych piwnic do strychu, od jednego węgła po drugi, od załomu ściany do załomu zabitego, złupionego domu – o takich wypadkach pisała Beata Obertyńska w wierszu pt. „Śmierć domu”.

Po dworakach nie pozostał kamień na kamieniu. I tylko dziwi, że do dziś w zdziczałych ogrodach wciąż dostrzec można zarysy fundamentów tych zdruzgotanych przed z górą pół wiekiem domostw.

– To nie jest moje miasto – dodaje Aleksander Niedźwiecki. – Nawet pociągi pasażerskie już tu nie dochodzą, a przed wojną mieliśmy dworzec kolejowy – mówi ze smutkiem.

A jednak przyjechał. Dlaczego? Aby z grobu matki Juliusza Słowackiego zabrać garść ziemi pod pomnik poety w Warszawie. Aby zachęcić ludzi interesujących się miastem, w którym urodził się Słowacki, do popularyzowania idei warszawskiego pomnika, wznoszonego na pl. Bankowym, na którego wykończenie wciąż brak funduszy. Aby odwiedzić pod Górą Krzyżową miejsce, gdzie zostali zgładzeni koledzy ojca – profesorowie Gimnazjum – przez ten sam hitlerowski oddział Nachtigall, który wymordował profesorów we Lwowie.

Wjeżdżając do Krzemieńca od zachodu mija się gładkie jak stolnica pola. Tylko dlaczego brudny czarnoziem przypomina spienio-

ne fale? To białawo połyskuje na nich krzemień. Plaga dla gospodarzy, frajda dla przyjeżdżających z Polski, którzy właśnie z pól zabierają na pamiątkę krzemień z Krzemieńca.

Krzemieniec to miasto, które zachorowało na łuszczycę. Nie ma w nim chyba ani jednego odmalowanego domu. Tynki kruszeją, pękają, schodzą płatami. Mury słynnego Krzemienieckiego Gimnazjum ceglasterobrazowe, w lizajach, jak wypieki na twarzy chorego człowieka. Ulice to właściwie gliniaste wiejskie drogi. Wieczorem miasto tonie w ciemnościach. W centrum palą się tylko trzy uliczne latarnie. Trzeba chodzić z latarką.

Punkt ważny w Krzemieńcu dla Polaków tam mieszkających i dla przyjezdnych: dworek rodziny Słowackich. Z wierzchu pobielony. W środku jest prawdziwą ruiną.

W 190 rocznicę urodzin Juliusza Słowackiego do Krzemieńca zjechali nie tylko literaturoznawcy, poeci, ale też ministrowie kultury Polski i Ukrainy. Uroczyste spotkanie odbywało się właśnie w ogrodzie przed dworkiem Słowackich. Nie wiadomo jak do tego doszło, ale nastąpił wyłom w protokole. Jan Musiał, były senator ziemi tarnowskiej i Benjamin Lazar, młody krakowski dziennikarz, wprowadzili obu ministrów kultury – Bohdana Stupkę i Kazimierza Michała Ujazdowskiego – do wnętrza zdewasto-

wanego dworku. Nasz minister jest osobą zdecydowaną. Wyszedł i powiedział, że do września przyszłego roku dom Słowackiego zostanie wyremontowany. Ujazdowski, który jest rzecznikiem związania promocji kultury z polityką zagraniczną państwa uważa, że w przypadku Ukrainy współpraca kulturalna jest najlepszą z możliwych form zbliżenia.

kontaktów.

Ateny wołyńskie

Krzemieńec, malowniczo położony w jarach otwierających się ku Wołyniowi, zachował swoją duszę. Za sprawą bujnej przyrody, wznoszącej się nad miastem Góry Bony, za sprawą słynnego Gimnazjum.

Założone przez Tadeusza Czackiego w 1805 r Gimnazjum Krze-



Liceum Krzemienieckie

A w Krzemieńcu – do którego szef ukraińskiego resortu kultury przyjechał po raz pierwszy właśnie ze względu na Słowackiego i kontakty z Polakami, wzbudzając zresztą sensację wśród ukraińskich mieszkańców miasta – istnieją rzeczywiście dobre warunki do takich

mienieckie, zwane „Atenami wołyńskimi”, promieniowało na całą okolicę, odgrywając ogromną rolę w kulturalnym rozwoju i życiu Wołynia, Podola i całej Ukrainy. Było placówką nowoczesną, mającą znakomitych nauczycieli, własną drukarnię, ogród botaniczny. Szkołę

zlikwidowano w 1832 roku za czasów złej sławy kuratora Nowosilcowa. Potem się odrodziła. W dwudziestoleciu międzywojennym Gimnazjum znowu przeżywało okres świetności.

A we wrześniu 1939 roku stało się sceną dramatycznych wydarzeń. To w Gimnazjum Krzemienieckim urzędował przez ostatnie dni przed wyjazdem do Rumunii rząd II Rzeczypospolitej.

Ach, jaki zjazd w Krzemieńcu, jaki splendor sławy spłynął na miasto nasze, poezją spowite. Przyjechali najpierw panowie z Warszawy, przybył Rząd Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. (...) Bo ich wojna już tknęła ognistym piorunem i szła za nimi groźnie, fatalnie, obłudnie. Byli ognia i zniszczeń niedobrym zwiastunem. Urzędnicy państwowi w drodze na południe – pisał Stanisław Baliński w wierszu „Pożegnanie z Krzemieńcem 1939”.

Baliński wiedział, o czym pisze. Był urzędnikiem MSZ i przebywał wówczas w Krzemieńcu. Bronił się przed opuszczeniem kraju. Na polecenie władz przekroczył granicę państwa 16 września, ale jeszcze tego samego dnia powrócił. Jednak gdy 17 września Armia Czerwona weszła na terytorium Polski, po raz drugi opuścił kraj, przechodząc most w Zaleszczykach.

Właśnie z powodu tamtych wydarzeń odwiedza Krzemieniec pani Anna, wnuczka przedwojennego

pracownika MSZ. Jej dziadkowie z córkami nie zdecydowali się na emigrację i stąd, spod Krzemieńca, wracali pod koniec września 1939 r do Warszawy. Ten powrót bydłocymi wagonami zajął im wtedy kilka tygodni.

- Na stacji Ukrainiec sprzedał im bez zmrżenia oka bilety pierwszej klasy. Podstawiono te straszne wagony bez ławek. Moja babka, elegancko ubrana pani, nie chciała usiąść na podłodze. Po dwóch dniach jazdy upadła na garść słomy, jaką rozłożono w wagonie – wspomina Anna.

Dziś w rozległym i wciąż bardzo pięknym architektonicznie kompleksie budynków Gimnazjum mieści się kilka szkół. Oblegane przez młodzież ukraińską są klasy języka polskiego.

- Jest tu prawdziwy pęd do nauki polskiego – mówi pani Mirosława, nauczycielka, która od kilku lat uczy polskie dzieci w szkole parafialnej i młodzież ukraińską w liceum. - Młodzi Ukraińcy wiedzą, że znajomość naszego języka zwiększa ich szansę na wyjazd do Polski, czyli na zdobycie pracy – dodaje.

Pod okiem pamięci

Śladów historii nowszej i dawniejszej wiele w Krzemieńcu.

- Na skalistych tarasach Góry Bony lubił siadywać Słowacki – mówi przewodniczka Małgorzata

Gicewicz. – Tam zaczął układać „Godzinę myśli”.

Nie ma to jak polskie przewodniczki po Kresach. Panie Małgorzata Gicewicz, Jadwiga Gusłowska są z Krzemieńca. Ale przewodników spotkać można w każdym większym skupisku Polaków. To cicerone tej ziemi. A wycieczki z Polski to dla nich nie tylko okazja do miłych kontaktów, ale i praca. Niekiedy jedyna możliwość zarobku na chleb.

Pani Irena Sandecka z Krzemieńca nie zajmuje się oprowadzaniem turystów. Ale do jej pobielonej chałupki z widokiem na Górę Bony pukają uczestnicy niemal wszystkich wycieczek. To człowiek-instytucja w tej części Wołyń. Gdy wybuchła wojna, była na obozie skautowskim w Anglii. Wiele wysiłku ją kosztowała okrężna droga powrotna, przez ogarniętą wojną Europę, do matki do Krzemieńca. Potem już nigdy stąd nie wyjechała.

Pamięta wszystko. Chętnie opowiada. Pilnuje, aby odwiedzający okolicę Polacy nie zapomnieli o wizycie na grobie matki Juliusza Słowackiego. A zdarzyło się tak przed dwoma laty, i fakt ten jest po dziś komentowany w Krzemieńcu.

– Moi rodzice nie znali już ojczystego języka. A teraz ja i dziecięcioro naszych dzieci świetnie mówimy po polsku – opowiada pan

Powyższy artykuł ukazał się 9.XII.2000 r w „Życiu”

Antoni Kamiński, założyciel Towarzystwa Odrodzenia Kultury Polskiej, które od 10 lat działa w Krzemieńcu, od 5 lat z akceptacją miejscowych władz.

Dwustu Polaków mieszka w Krzemieńcu. Do Towarzystwa należy połowa. – Wszyscy ci, którzy chodzą u nas do kościoła, są Polakami – mówi pan Kamiński. W ten sposób przede wszystkim wyrażają swoją tożsamość. W Towarzystwie istnieją dwa zespoły chóralno-taneczne „Barwy” i „Barwinki”. Śpiewa w nich i tańczy cała rodzina Kamińskich. Pan Kamiński trzyma artystów mocną ręką. Dlatego msze w kościele polskim mają tak piękną oprawę. I dlatego zespoły odnoszą sukcesy na festiwalach na Kresach i w kraju.

Kontakty z krajem wiele dla mieszkających na Kresach Polaków znaczą. Nie tylko ze względów zasadniczych i emocjonalnych. Także z uwagi na praktyczną stronę życia. Nie tylko dla siebie, ale dla tych ludzi warto tam bywać. Adam Zagajewski pisał: „Jechać do Lwowa”. Trawestując słowa poety można powiedzieć: jechać na Kresy. Trzeba jechać na Kresy. Również po to, aby stojąc na tarasie pałacu w Podhorcach należących niegdyś do królewiat kresowych Koniecpolskich, Rzewuskich – spojrzeć na bezkresny step.